Rok IV. Myślenice, styczeń—luty 1936. Nr. 3

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTW. GIMNAZJUM KOEDUKACYJNEGO
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

„Praca - nasze bóstwo
Przyjaźń - nasze godło!“

(Przemówienie naczelnika na pierwszem posiedzeniu nowego Zarządu Gminy Szkolnej.)

Koleżanki i Koledzy! Powołany na stanowisko naczelnika Gminy szkolnej mam wraz z nowoobranym Zarządem prowadzić dalej dzieło naszych poprzedników. Musimy dążyć do tego, by nasza tegoroczna praca wydała wyniki lepsze a przynajmniej nie zmarnowała nic z zeszłorocznego dorobku. Do osiągnięcia jednak tego celu potrzebna jest żywa i intenzywna współpraca wszystkich członków Gminy. Spodziewam się, że nie zawiedziecie nadziei, jaką pokładam w Was, nie odmówicie mi współpracy i że, rozumiejąc całą wartość pracy na terenie naszej Gminy szkolnej, będziecie wszyscy dążyli do coraz lepszego jej rozwoju.

Pole do współpracy jest bardzo rozległe — każdy może i powinien znaleźć sobie dział pracy, który go najwięcej interesuje. Trzeba tylko chcieć pracować. Niestety, tej chęci brak nam zazwyczaj. Najbardziej brak tej współpracy daje się odczuwać w wydawaniu naszej gazetki „Głosu Młodych". Brak artykułów utrudnia redakcji jej złożenie i punktualne wydawanie. Sądzę, że ten stosunek do naszego organu zmieni się rychło na lepsze.

Idąc śladami mego poprzednika będę nadal dbał szczególniej o rozwój gmin klasowych. Muszą one stanąć na wysokości swego

zadania. Wszystkie organizacje, o ile tylko będą okazywały chęć współpracy z nowym Zarządem Gminy, doznają od nas wszechstronnego poparcia.

Wytężmy więc siły! Stańmy do wyścigu pracy — wyścigu, w którym nikogo z nas zabraknąć nie powinno.

Pracujmy, mając w pamięci nasze hasło: „Wszak praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło!“ W naszej pracy nie braknie nam poparcia ze strony p. Dyrektora, p. Profesora—opiekuna Gminy oraz całego Grona profesorskiego.

Kończę gorącym apelem: Spełniajcie sumiennie obowiązki obywateli Gminy szkolnej! Wszyscy do pracy, lecz ta praca niech łączy się z miłem, towarzyskiem współżyciem! Stańmy się jedną wielką, harmonijną rodziną!

Władysław Banach
naczelnik Gminy szkolnej.

W szesnastą rocznicę odzyskania morza.

Dopiero 16 lat upłynęło od czasu, kiedy znowu na wybrzeżu Bałtyku zatknięto polską banderę. Powiała ona ku nam żądzą czynu, porwała nas do realizowania szczytnych haseł.

I istnych cudów dokonano w tak krótkim czasie na polskiem wybrzeżu. Polska zbudowała swój własny, potężny port Gdynię o nowoczesnej, wspaniałej konstrukcji, zbudowała własną, dość już pokaźną flotę. Niesłychany panuje tu ruch. Co chwila słychać sygnał syreny odpływającego i przybijającego do portu okrętu. Las dźwigów niezmordowanie pracuje swemi stalowemi ramionami, poruszanemi siłą elektryczną, jużto ładując jużto wyładowując towary. Stąd rozchodzą się po całej Polsce towary sprowadzane z zagranicy. Stąd wysyłamy do obcych krajów nasze surowce i przetwory przemysłowe.

Płyną nasze dumne okręty nowoczesnej struktury po nieprzebytej toni wszystkich oceanów, mężnie stawiając czoło wszelkim burzom. Zawijają do wszystkich prawie portów świata.

Niema Polski bez morza ani morza bez floty wojennej. Nasza flota wojenna jest dopiero w pierwszem stadjum rozwoju, lecz praca nad jej rozbudową trwa. Musimy bowiem dorównać siłą światowym potęgom, jakie ze wszystkich stron nas otaczają, zawistnem okiem patrząc na nasz wzrost.

Dołóżmy więc wszelkich starań, wytężmy wszystkie siły, aby wzrost naszego portu był coraz świetniejszy. Jest on przecież gwarancją naszego rozwoju i dobrobytu na przyszłość.

Kochajmy nasze morze, to nasze okno na świat cały, bo w niem płyną łzy wielu pokoleń, które go nie miały, bo w niem płynie krew naszych ziomków, którzy walczyli o jego odzyskanie.

Bernard Widzisz (VII).

I narty też.

Jak sięgniesz wzrokiem
Wzdłuż i wszerz,
Biel jasną masz pod bokiem,
Błękit niebiosa i jasny beige...

Daleko — las się czerni,
Jeziora zmarznięta szyba,
Tu krzaki głogów i cierni...
To wszystko Jego chyba.

I jasny błękit nieba
I srebrny księżyc też
I ziemia — matka chleba
I wszystko wzdłuż i wszerz.

Tak cicho pod stopami
Puszysty szumi śnieg,
Tak piętrzy się zwałami
Srebrzysty, miękki śnieg.

W zawrotnym mijam pędzie
Samotny, cichy gaj —
A byłem tutaj wszędzie
Gdy pachniał ciepły maj...

Ta cisza tu dokoła
I cichy desek szum
Tak dziwnie jakoś woła
Pochwalny jakiś hymn.

A czarne czuby nart
Na śnieżnej rzeźbią bieli

Miłości zimny ślad,
Każdego dnia i każdej niedzieli.

To niebo, śnieg i ziemia
To wszystko chwali Go
Bez złości jakiejś cienia,
Bo wszystko Jego to.

To wszystko, co w krąg widzisz,
To wszystko wzdłuż i wszerz,
Te góry, miasta, ziemia
— I szare narty też.

Wiesław Miecz (VIII).

ZYGZAKI.

Zawiły dowód historyczny. Dlaczego teraz jest kryzys? — Niejednego zaciekawi to pytanie i wielu ma na nie rozmaitą odpowiedź. Nie wszyscy jednak dopatrzą się odrazu związku logicznego w twierdzeniu, że obecnie jest bieda dlatego, że przed wojną światowę Japończycy kształcili się na europejskich uniwersytetach.

Wiemy z historji, że w I. połowie XX. wieku wielu Japończyków kształciło się na uniwersytetach zachodniej Europy. Po powrocie do swojej ojczyzny krzewili u siebie europejską kulturę. Japończycy jako ludzie niezwykle zdolni i inteligentni, przejęli tę kulturę bardzo szybko tak, że w przeciągu 50 lat zeuropeizowali się i przewyższyli wszechstronnie swych dawnych nauczycieli Chińczyków. Tymczasem w r. 1904 wybucha wojna rosyjsko—japońska, w której Japonja odniosła zdecydowane zwycięstwo tak na lądzie, jak i na morzu; stało się to tylko dzięki postępowi kultury i techniki. Rosja, odparta na dalekim wschodzie, zwróciła swą ekspansję na bliski wschód t. j. na Bałkany. Ona to reżyserowała tutaj „mord sarajewski", który — jak wiemy — spowodował bezpośrednio wybuch wojny światowej.

Wojna ta, jak każda inna, osłabiła i zniszczyła państwa materjalnie. Te, odbudowując się, przeznaczają wielkie sumy na rozbudowę gospodarczą państwa. Tak więc doszliśmy do tego, że pośrednim powodem kryzysu było kształcenie się Japończyków.

Wieści z wojny włosko-abisyńskiej. Duce uważając się za kontynuatora rzymskich Cezarów, postanowił odnowić ich zaborczą politykę. W tym celu dla zdobycia prowincji — a mówiąc językiem nowoczesnym — kolonji, wysyła do Abisynji kilka dywizyj „czarnych koszul". „Czarne koszule" wśród okrzyków: „eja! eja! Mussolini!" zawijają do portu Drzyj-buty. W ofenzywie na Makalle „koszule" przyzwyczajone do „dolce far niente" przekonywują się, że marsz szykiem ubezpieczonym to nie pochód karnawałowy w maskach po ulicach Wenecji; a duce zauważył, że jeszcze dużo makaronu musi zjeść, by dorównać cezarom. Lecz dajmy temu spokój, bo „fortuna variabilis — Deus mirabilis". Liga Narodów uchwala sankcje przeciw Włochom. Między innemi nie wolno do Włoch wywozić broni, amunicji, metali i tp. Włosi jednak starają się udowodnić, że potrafią działać samodzielnie. W tym celu szlachetne kruszce i wogóle wszelkie metale ofiarowują na rzecz skarbu państwa. Duce twierdzi, że wraz z wojskiem spełnia misję cywilizacyjną. I tu sprawdza się 3-cia reguła dynamiki, że „akcja równa się reakcji", gdyż z jednej strony krzewi „kulturę" w Afryce a w kraju następuje zastój w rozwoju. Szlachetne kruszce oddano na zbrojenia, przeto pierścionki sporządza się z kłów dzikich zwierząt, jak u ludów pierwotnych. Lecz to jest drobnostka. Wszelkie balustrady i kraty przelano na działa. Brak krat w więzieniach spowodował ogólną amnestję, w ślad za czem idzie wzmożony rozwój bandytyzmu włoskiego. W restauracjach jada się obecnie palcami, gdyż wszelkie łyżki, widelce, noże i t. p. użyte zostały na fabrykację broni K. B. systemu „bono strelatto". Również na rzecz państwa zarekwirowano dzwony, a na ich miejsce ustawiono ogromne klekotki t. zw. „clecatto zwonando". Włochy wskutek tego — mimo karnawału — wyglądają tak smutno, jakby w ten sposób obchodziły żałobę po królu angielskim.

Dotkliwy brak metali spowodował powrót epoki „kamienia ciosanego". Nastąpił pewnego rodzaju powrót do natury. Dopiero tam Rousseau musi z radości przewracać się w grobie, ciesząc się, że jego kierunek znalazł praktyczne zastosowanie.

Longinus.

Pociąg Nr. 367.

Było to 3. września, gdy przybyłem na dworzec. Wszędzie panował wielki ruch. Z dorożek i aut wysypywali się studenci i studentki. Wszyscy elegancko ubrani, błyszczą polerowane guziki mundurów i mienią się barwne tarcze.

Wszyscy są uśmiechnięci, zadowoleni pełni beztroskiego życia i humoru. Również beztrosko posuwa się złota tarcza słoneczna po pogodnem błękicie nieba.

Wymieniają między sobą uściski dłoni i powitania i dzielą się wrażeniami po 2 miesięcznej rozłące.

W twarzach widać odbicie kwitnących łąk, zbóż, bo na nich i wśród nich spędzili wakacje.

Na korytarzu ciasno. Jedni stoją, inni spacerują i rozprawiają na temat, którą klasą jest lepiej jechać, a którą gorzej, gdzie dogodniejsze miejsce i t. p.

Nasz dworzec jest przy ul. Jagiellońskiej, zaś nasi starsi koledzy z amarantowemi tarczami wsiadają na dworcu przy rynku obok bożnicy (twierdzą, że są uprzywilejowani).

Ja jestem pasażerem kl. VI.-tej

Wchodzę do klasy. Spotykam tutaj koleżanki i kolegów, z którymi już w zeszłym roku odbywałem podróż.

Wybierając się w tak daleką i żmudną podróż, trzeba wybrać się z błogosławieństwem Bożem. Toteż opuszczamy nasze przedziały, aby udać się na nabożeństwo.

Nasz pociąg rusza z miejsca bardzo powoli, bo „kierownik" tego pociągu jest rozważny i ostrożny, to też nie pamiętam, aby miał kiedyś katastrofę.

W pierwszym dniu jedziemy 3 godziny, w drugim 3, później już 4 i 5, a nawet 6 godzin dziennie.

Podróż jest coraz cięższa, trudniejsza.

Jedziemy szlakiem Kolumba i innych odkrywców Ameryki. Objaśnień udziela nam młody i przystojny konduktor o czarnych kruczych włosach i nieco orlim nosie. Postać tę spotykamy w naszej historji poraz pierwszy względnie drugi (jak kto woli).

„Jestem Głowacki" mówi do nas. Zaraz przychodzi mi na myśl waleczny Bartosz. Teraz to naprawdę gołą ręką polecą „dwóje".

Tak jakoś niemądrze ułożony jest plan podróży, że zaraz z Ameryki musimy wracać do Europy, aby oglądnąć piękne zabytki „Odrodzenia we Włoszech".

Konduktorzy zmieniają się co godzina, a nasze biedne główki pozostają jak przedtem niezmienione.

Jesteśmy w ojczyźnie języka łacińskiego, który to język jest dla nas martwym.

Znudził się wszystkim i przestali go używać. (Bo komużby się nie znudził?)

Stosunki łacińskie są bardzo naprężone. Wre praca nad produkcją materjału wojennego, który ma być użyty na froncie abisyńskim.

Włochów ogarnął zapał wojenny. Mussolini zamówił u nas kilka machin oblężniczych, koniecznych do zdobycia Addis-Abeby.

Przystąpiono do wykonania zamówień i głowa barana do taranu w najbliższym czasie będzie gotowa.

Wycieczka nasza jest przyjemna i wesoła, co należy przypisać naszym miłym koleżankom.

Pogoda sprzyja nam prawie zawsze. Zachmurzenia zdarzają się jedynie w czasie konferencji wywiadowczej. Opady atmosferyczne w postaci deszczu łez spotyka się wyłącznie u koleżanek.

Już znika powoli humor, ustępując miejsca kłopotom i zmartwieniom. Kulminacyjnym punktem, który doprowadza nas często do rozpaczy jest zapłacenie biletu jazdy, który jest dla nas bardzo drogi.

Rozdawanie biletów z czerwonym paskiem przejmuje nas dreszczem. Wielu pasażerów musi z tego powodu wysiadać i leczyć się dopóki febra nie ustąpi. Powinny być zastosowane 80%-we zniżki. Przyczyniłoby się to do wzmożenia ruchu turystycznego. Na razie nie możemy jednak o tem marzyć, lecz możemy zwlekać na raty do maja.

S. K. S. (VI.)

Mało zasad, dużo kwasów.

(Chemja i fizyka a życie.)

Gdyś się urodził (a) podczas wyborów, to było ciśnienie paru atmosfer, a pary materjałów wybuchowych wisiały w powietrzu — no, ale i to przeszło — i nastąpiła reakcja. Gdyś się zaś urodził na

czwartem piętrze czy wyżej — o, to gorzej. Bo prawa powszechnej grawitacji ciągnąć cię będą do ziemi: możesz przedwcześnie umrzeć, albo zostać górnikiem, a wtedy ziemia będzie wisieć nad tobą. Zresztą, jeśliś się urodził tak wysoko, to kąp się w rzekach i stawach śmiało, bo: co ma wisieć, nie utonie. Gdyś był (a) małym (ą) nie przebierałeś w środkach żywnościowych: mleko jako tłuszcz służył tobie jedynie jako pokarm, no i byłeś (aś) zadowolony. Potem przyszły gorsze czasy. Gdyś już podrósł i zaczynasz rozumieć, piasek i łopatka już cię nie nęci — zaczynają na ciebie wpływać różne tlenki, które będą cię gryźć i zostawią rdzę na całe życie. Wtedy wybierasz: czy łuk będzie ci odpowiadał, czy spódniczka, czy też książka. Zaczynasz się uczyć, I teraz dopiero poznasz różne kwasy: solny — w postaci matematyki, azotowy — łacina, siarkowy — fizyka i t. d. Dzięki wielkiemu powinowactwu z ludźmi, zaczynasz wiązać różne związki: obojętne — z kolegami, przyjazne — z ludźmi, z forsą i papierosami i nareszcie związki przyjemne i miłe — z koleżankami Potem przyszło troszkę reakcji i stawałeś się porządnym człowiekiem — sztubakiem. Pod koniec tego chemiczno — gimnazjalnego procesu przemiany musiałeś przejść próbę ogniową. Oto ty byłeś (aś) złotem (naturalnie — w przenośni) i pokolei kąpałeś się w każdym kwasie. Który cię zje — który cię zeżre. To m-a-t-u-r-a. Jeśliś był naprawdę złotem, toś sobie drwił i mówił — „nie tacy byli i nie tak straszyli", lecz jeśliś był złotem (?) z domieszką bronzu czy miedzi — to cię musiał jakiś kwas zjeść, czy azotowy — czy solny. Tuś się poraz pierwszy potknął. Byłeś zły. Wszystkie książki, powinowactwa, związki, mieszaniny, fosforany, azotany, siarczany i inne „any" rzuciłeś w kąt do wszystkich... tak i zapomniałeś o Bożym świecie. Lecz na chwilę. Zbudził cię jakiś litościwy pierwiastek promieniotwórczy — jakiś mizerny „radzina" i kazał ci żyć i na nowo działać. Gdyś już się wydostał z tych objęć ciasnych murów (ach !...) samych genjalnych myśli, pełnych różnych Davy'ejów, Faradey'ów, Maxvellów, Marconich, Bellów, Galileuszów, Newtonów, — i innych Ruhmfordtów, Leuzów, Lauerów i Roentgenów, Herzów i Olszewskich. I to się skończyło— i na to przyszła „kryska". Teraz udawałeś pana (nią) au courant w tych sprawach. W domu i w rozmowach byłeś (aś) taki (a):

— Proszę pana, czy pan nie czuje ozonu w powietrzu? Temperatura początkowa powietrza jest troszkę za ciepła, lecz to nic, wysoka temperatura lepiej przewodzi uczucia i myśli. Czy ruch jednostajnie przyspieszony nie ciągnie pana na kolację do domu?

Potem stosowałeś(aś) prawo Boyle'a i Mariotte'a w życiu. Serce rozsadzał jakiś dziwny gaz — a w żyłach zamiast rtęci miałeś (aś) galopującą krew. Kochałeś (aś) się. Umiałeś już zadziwiająco szybko obliczyć „v" — swego serca i byłeś (aś) zadowolony (a). Robiłeś wszystko co mogłeś: stawałeś na głowie, całkiem wbrew prawom równowagi, wagi i innej „wagi", biegałeś tak szybko jakby nie było wogóle oporu, byłeś rozpalony ponad 500° C a nie stawałeś się parą czy gazem wbrew prawu jakiegoś tam Drapera itd. A gdy dostałeś „kosza" — w sercu twojem temperatura spadła do bezwzględnego zera. Sprężystość twych muskułów całkiem znikła. Kochałeś się jak igła pod wpływem magnesu, czy jakieś inne tam wahadło — czy lepsza jest śmierć przez zastrzelenie czy też przez wypicie cjankali. W pierwszym wypadku pomyślałeś, że materjał wybuchowy w naboju, to nitrogliceryna Nobla, może być za słaba i może nie wybuchnąć, co przyprawi cię o napięcie nerwów, jak struny na pudle rezonacyjnem W drugim — pomyślałeś, że taki związek ci nie odpowiada i że na zabicie takiego nędznego żywota wystarczy mocna kawa, sam napisałeś sobie wzór na truciznę Pełno tam było C, R, H, Pb, F, O, J, Cu, NO, T, S, Mu, Bk, Ur, Hb — do 15. i 25. potęgi. Zresztą żeby się nie babrać z chemją, dałeś spokój z nauką i z... miłością. No. Zmądrzałeś Pozatem co się odwlecze to nie uciecze — lepiej zaczekać. Może jakiś litościwy samochód o olbrzymim „v" początkowem przejedzie cię. Lepiej poczekać. No i czekałeś. A potem przyszły różne czasy. Byłeś żonaty i pomimo tego, miałeś teściową — materjał łatwo zapalny i silnie wybuchowy, miałeś dom i... kłopoty, jako uboczny produkt życia domowego. Ciągle jednak powtarzałeś: „dużo kwasów mało zasad" albo „mało zasad — dużo kwasów".

Wiesław Miecz (VII).

Griesman na ogonie!

Polowe lotnisko w Suwałkach tonęło w brudno-smętnej mieszaninie śniegu, wody i błota. Szła odwilż. W nastroju harmonizującym najzupełniej z beznadziejnością mglistych i mokrych pejzaży, wyszedłem z kwatery, by po raz ostatni rzucić okiem na teren naszych igrzysk lotniczych, pożegnać westchnieniem ulgi (niestety) wezbrane nurty Czarnej Hańczy oraz łysiejące zdala z bizantyjską godnością kopuły synagog suwalskich.

Był to dzień 17 marca 1933 r., dzień zakończenia ćwiczeń i odlotu do stałego garnizonu. Brnąc po kolana w kałużach wody toczyłem wokół mętnym wzrokiem, usiłując wryć sobie dokładnie w pamięć charakterystykę okolicy, by kiedyś po latach wywołać w duszy jej wizję i oddać się melancholijnie refleksjom tułaczej i żołnierskiej młodości.

Prócz tego miałem zamiar dokonania kilku zdjęć fotograficznych celem uzupełnienia mego albumu manewrowego. Zważywszy bezcelowość podobnego zamiaru przy istniejących warunkach atmosferycznych zakląłem zlekka i skierowałem ociężały krok w stronę wysokopiennego lasu, na którego tle srebrzyła się matowo gruba linja skrzydeł naszych samolotów.

Po raz pierwszy chyba w życiu zbliżałem się do płatowców bez entuzjazmu, co gorsza, z jakąś dziwną, nieokreśloną nieufnością. Napróżno usiłowałem zgnieść ją w sobie, napróżno rozumowałem, że przecież ten samolot jest najwierniejszym moim przyjacielem.... oto dziś jeszcze zaniesie mnie na łono własnego domu, do ciepłego miłego pokoju, do wanny, nadewszystko zaś do czystej, ciepłej pościeli, o której marzę od kilku tygodni.

Wszystko napróżno. Przykre samopoczucie pozostało bez zmian.

Tedy splunąłem siarczyście, gdyż zrozumiałem, iż bądź co bądź po dniu dzisiejszym nie można się spodziewać niczego dobrego. Na domiar złego, po dojściu do samolotów zdarzyło się coś takiego, co jak piorun zdruzgotało ostatnią tlejącą jeszcze we mnie iskierkę dobrego humoru. Otóż stwierdziwszy gotowość płatowców do odlotu, wdałem się w pogawędkę z mechanikami, gwarząc o tem i owem, najchętniej zaś o zakończeniu ćwiczeń i oczekującym nas wypoczynku w Toruniu.

Nagle jeden z kaprali nazwiskiem Griesman, zwraca się do mnie i z najniewinniejszym uśmiechem mówi: „Panie poruczniku, dziś w nocy miałem bardzo dziwny sen.!!" „Jaki?" pytam, tknięty złem przeczuciem. „Otóż widziałem pana porucznika całego we krwi, na noszach.!! „Milcz głupcze!" przerwałem wściekły. Griesman umilkł przerażony, nie rozumiejąc, coby złego powiedział i zdumionym wzrokiem wodził po twarzach kolegów. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy sierżant szef „pomacał" go po swojemu pod żebro i rzekł: Trzebno bydzie, Griesman, abyśta se jęzor zlekka majzlem przyiwanili i trochą tawotu rozum wylakierowali, toć to nie wi ta tego, że takich bzdur przed lotem gęgrać nie wolno?!." Uspokoiwszy się, długo patrzałem w twarz mojego nie-

wczesnego proroka, wreszcie więcej z przyzwyczajenia niż ze złości rzuciłem przez zęby: „bodaj cię".!! i odszedłem w kierunku kwatery z uporczywą myślą: co to wszystko u licha znaczy?... Wreszcie nie mogąc nic zrozumieć, rzekłem sobie: „Sen mara, Bóg wiara" i z fantazją gotowego na śmierć Hektora zagwizdałem jakąś wesołą arję. O godz. 14 zjadłem obiad. W pół godziny potem byłem już z kolegami na lotnisku, gdzie usiadłszy wygodnie na spadochronie, obserwowałem uważnie ostatnie przygotowania do lotu i oczekiwałem z rezygnacją spełnienia się snu. Jakoż istotnie w kilkadziesiąt minut potem ja i kapral Griesman przeżyliśmy tak tragiczne chwile, że na wspomnienie dziś jeszcze włosy stają mi na głowie. Było to tak.

Gdy dwie maszyny moich kolegów szybowały już w powietrzu, dałem znak mechanikowi do zapuszczenia—ostatniej mojej. Wychyliwszy się z kabiny, zauważyłem zgięte w wysiłku ciało Griesmana, kręcącego zapamiętale korbą rozrusznika. Mimowoli pomyślałem wówczas, że chętnie widziałbym innego mechanika przy tej pracy— był to moment tylko, błyskawiczne skojarzenie wrażeń, doznanych przy opowiadaniu przezeń jego snu.

Po chwili silnik targnął się potężnie raz, drugi, trzeci. Płatowiec zadrżał, wreszcie rozdygotał się cały jak we febrze pod takt miarowych uderzeń korbowodów, które jak nieskończona ilość serc tłukła się w żelaznej piersi maszyny, dając życie martwym strzępom płótna, metalu i drutu. Straszliwy ryk silnika, próbowanego na pełnym gazie, zagłuszył we mnie wszelkie sny, przeczucia, widziadła, zostawiając mi tylko jedną świadomość: oto mam w ręku życie własne i życie tego potwornego ptaka — przyjaciela — — —

Był najwyższy czas startować. Jeden z kolegów dał mi to do zrozumienia, zniżywszy lot i przemknąwszy tuż nad moją głową jak zwid skrzydlaty.

Przyciągnąłem do siebie drążek sterowy, lewą ręką otworzyłem gaz. Maszyna zerwała się z miejsca lekko, misternie jak baletnica, poczem wdzięcznie podrygując, dążyła do miejsca startu.

Mechanik uczepiwszy się stójki, biegł, ile sił, unosząc się na rękach w górę w obawie przemoczenia, ilekroć koła trafiały w większą kałużę. Wreszcie ostatnim wysiłkiem skręcił płatowiec pod wiatr i odparłszy w bok, skinął rekę na znak startu. Zebrałem się w sobie, otworzyłem gaz do ostatniej granicy. Ptak mój ryknął całą mocą i potoczył się w zawrotnem tempie po lotnisku, miażdżąc błoto, wybijając kołami gigantyczne fontanny śniegu i wody, rzucając się

straszliwie na wszystkie strony, aż wreszcie zerwawszy pęta siły ciężkości, zawisł — — — Odetchnąłem, najtrudniejsza część zadania wykonana.

Samolot uczepiwszy się śmigłem w powietrze, prze w górę z radosnem wyciem zwycięzcy. Rzucam okiem na wysokościomierz. Już 100 m... już 150... 200... Powoli zwracam głowę w lewo, wychylam ją nieco i w miarę, jak lotnisko ucieka mi z oczu, żegnam je ostatnim uśmiechem. Nagle! Cóż to? — — — Mróz przeszył mi wszystkie zwoje mózgu — — — w tyle samolotu widzę coś jakgdyby wahające się żołnierskie buty — — — nie mogę dojrzeć dokładnie — — — drżącą ręką reguluję lusterko, spoglądam i... zapadam się w ciemną otchłań. Nadludzkie przerażenie chwyta mię całego jak potężne kleszcze, podnosi włosy... zimny pot zalewa mi gałki oczne. Tam — przyczepiony rozpaczliwie do części ogonowej samolotu wisi nad dwustumetrową przepaścią kapral Griesman. Wściekły pęd powietrza szarpie mu odzież na strzępy, wydziera włosy, spycha z niepohamowaną siłą z ostatniej deski ratunku, Widzę przez mgłę jego twarz nabrzmiałą nadludzkim wysiłkiem, grube, sine powrozy żył na skroniach pękną, zda się, lada moment — — — wzrok krwawy, obłąkany wpił we mnie i krzyczy coś rozpaczliwie, czego ja słyszeć — rzecz jasna — nie mogę, lecz czuję — — — rozumiem — — — o jak dobrze rozumiem! W obłąkaniu niemniejszem niż ten tam wiszący, zamykam gaz, oddaję ster i ostatnim przebłyskiem świadomości wykonuję zawrotną krzywiznę ku ziemi — — — byle nie odpadł, byle wytrzymał! Boże! Boże! jeszcze 10 sekund — jeszcze 5 — ziemia jak wybawienie zbliża się, powiększa — — — już jest! W obawie, by nieszczęśliwiec oszołomiony szczęściem bliskości ziemi nie odpadł już przy lądowaniu, gdzie maszyna posiada zawrotną szybkość 300 km, krzyczę ile sił: „trzymaj się, dopóki nie stracimy wybiegu!“ Coś jakby skinięcie głową było odpowiedzią. Całą uwagę zwracam teraz na lądowanie. Byle nie skapotować, byle nie skapotować — — — inaczej śmierć jemu i mnie — — — Już!

Potężne stęknięcie amortyzatorów, potępieńcze strumienie wody rozpryśniętej na wsze strony. Samolot jak gigantyczna piłka skacze do góry raz, drugi, trzeci — — — trzymam ile sił — — — przywarł do terenu — — — mknie z szaloną szybkością przez wodę, śnieg, błoto — — — wreszcie traci rozpęd, sunie spokojniej, wolniej i ostatnim wysiłkiem wpada w olbrzymią kałużę, zanurzając się po skrzydła — — —

Puszczam ster—obracam się. Blada z wysiłku twarz Griesmana uśmiecha się do mnie słabo, wargi usiłują coś powiedzieć, słyszę tylko szept: dzię — ku — ję... i Griesman osuwa się w ramiona kolegów — ocalony. —

Na podstawie opowiadania brata — lotnika napisał

Wit (III).

Z naszego życia.

Z życia Gminy szkolnej. Dnia 8. lutego br. odbyło się Walne Zebranie Gminy szkolnej. Po przemówieniu dotychczasowego naczelnika gminy kol. Juljusza Lelity złożył ustępujący Zarząd szczegółowe sprawozdanie z rachunków i działalności swojej za r. 1935. Sekretarz kol. Kowalski przedstawił działalność Głównego Zarządu, zast. naczelnika kol. Ogorzałówna omówiła stan i prace gmin klasowych, skarbniczka kol. Zagórska przedłożyła sprawozdanie kasowe. Na wniosek prezesa Komisji rewizyjnej kol. Cielińskiego udzieliło Walne Zebranie ustępującemu Zarządowi absolutorjum. Z kolei dokonano wyboru nowego naczelnika gminy. Obrany został prawie jednogłośnie kol. Władysław Banach (kl. VII.), który dziękując za zaufanie, przedstawił w zarysie plan dalszej pracy. Zaznaczył, że będzie w działalności swej kładł głównie nacisk na prawdziwie koleżeńskie współżycie ogółu młodzieży, wzajemną przyjaźń i wyrozumiałość, tak konieczną do współpracy na terenie samorządu.

Pod przewodnictwem nowoobranego naczelnika dokonano następnie wyboru prezydjum gminy i jej komisyj. Skład osobowy nowych organów gminnych jest następujący: Władysław Banach (VII.) — naczelnik, Elżbieta Cielińska (VII.) — zast. naczelnika, Józef Kasprzyk (VII.) — sekretarz, Walerja Wątorkówna (VI.)—zast. sekretarza, Tomasz Rogowiec (VI.) — skarbnik, Stanisława Orlecka — zast. skarbnika. Komisja rewizyjna: Wiesław Szumski (VII.)—prezes, Zofja Władzimirówna (VI.), Mieczysław Szczyrbak (III.) — Komisja Opieki społecznej: Julja Ostafinówna (VII.)przew., - Józef Michalik (VI.), Wanda Wygonna (II.)—Komisja Obchodowa: Jerzy Kaciński (VII.)— prezes, Anna Wołochówna (VII.), Konrad Kozłowski (VII.), Zofja Udzielanka (VI.), Michał Bednarski (III.), Halina Władzimirówna (II.) Komisja świetlicowa: Józef Trybus (VII.) — prezes, Marja Kostiukówna (VII.), Kazimiera Czarna (VII.), Juljusz Dziewoński (VII.),

Zofja Kühnerówna (VI.), Wiktor Gorączko (III.), Izabela Łazarska (I.) Komisja redakcyjna: Mieczysława Nagawiecka (VII.), Zofja Polończykówna (VII.), Jan Konieczny (VII.), Renata Hirkawska (VI.), Stanisław Kiczmal (VI.) — Komisja sądowa: Juljusz Lelito (VIII.)—prezes, Stanisław Chorąży (VIII.), Zofja Kisińska (VII.), Zofja Święta (VII.), Wanda Trojanowska (VI.), Władysław Sala (VI.) —

W końcu zabiera głos opiekun Gminy szkolnej prof. Ludwik Werschler i wyraża uznanie ustępującemu Zarządowi, gdyż dzięki jego pracy wzrosła spoistość organizacyjna gminy, konsekwencja w działaniu i wydatność rezultatów. Składa następnie w ręce nowego naczelnika życzenie dla nowoobranego Zarządu, by jak najlepiej spełnił pokładane w nim nadzieje całej młodzieży i grona wychowawców i w realizacji pięknych, samowychowawczych zadań samorządu szkolnego na terenie naszego gimnazjum dalszy uczynił postęp.

Dnia 13. lntego br. odbyło się pierwsze posiedzenie nowego Zarządu Gminy szkolnej wspólnie z wszystkiemi komisjami, na którem wybrano przewodniczących poszczególnych komisyj, omówiono plan całorocznej pracy, postanowiono zreorganizować czytelnię i wydawać nadal gazetkę „Głos Młodych" jako organ gminy. —

Dnia 25 lutego br. odbyło się otwarcie świetlicy oraz czytelni świetlicowej. Przemówienie wstępne wygłosił prezes komisji świetlicowej kol. Józef Trybus, przedstawiając program pracy tejże komisji. Następnie zwróciła się kol. M. Nagawiecka z gorącem do obecnych wezwaniem do współpracy w wydawaniu „Głosu Młodych" przez nadsyłanie artykułów i stałą prenumeratę. Z kolei przemówił naczelnik gminy kol. Banach, który wskazał na wielkie korzyści, jakie nam daje świetlica i czytelnia świetlicowa.

Po tych przemówieniach odbyła się w świetlicy zabawa taneczna Zarządu gminy z udziałem delegacyj klas i organizacyj.

Sekretarz Gminy.

Z męskiej drużyny harcerskiej. Dnia 19. stycznia br. urządziła I. drużyna harcerska męska w sali kl. VIII. herbatkę we własnem kółku. „Herbatka" ta mająca charakter zbiórki, urozmaiconej śpiewami i zabawą towarzyską, była bardzo miła. Repertuar „kawałów spalskich" dh. Cielińskiego, „chińskie cienie" i t. p. wzbudziły salwy śmiechu wśród rozbawionych druhów. W „herbatce" wziął udział opiekun drużyny, prof. Krzyszkowski. —

W lutym br. została rozwiązana II. drużyna harcerska męska im. Fr. Żwirki przy szkole powszechnej w Myślenicach. Druhowie, którzy pracowali w tej drużynie na stanowiskach kierowniczych zostali z powrotem wcieleni do I. drużyny. Znikomą ilość członków rozwiązanej drużyny przydzielono do 2 zastępów, pozostających pod opieką Hufca. —

W czasie feryj Bożego Narodzenia Komenda Hufca wysłała na zimowy kurs drużynowych w Węgierskiej Górce dh. Jerzego Trybusa, który jest projektowany na przyszłego drużynowego I. drużyny, a obecnie pełni funkcję zastępowego zastępu pozaszkolnego.

Sekretarz Drużyny.

Z życia Straży P. Dnia 17 lutego br. odbyła się wizytacja tut. Zespołu S. P. przez Naczelnika okręgu S. P. prof. Wł. Marca. Po odprawie złożyli członkowie zespołu ślubowanie.

Z życia Koła Krajoznawczego. Praca w Kole rozwija się bardzo pomyślnie. Koło przygotowuje na kwiecień „Wesoły wieczór", z którego dochód będzie przeznaczony na fundusz wycieczkowy.

Podziękowanie za „gwiazdkę" dla dzieci górników. Samorząd kl. VIII. otrzymał następujące pismo: Kulturalno-oświatowe Koło Górników przy kopalni „Saturn" w Czeladzi.— Czeladź, dnia 12 lutego 1936 r. Do Samorządu VIII. kl. Państw. Gimnazjum w Myślenicach.— Zarząd Koła Górników przy kop. „Saturn" w Czeladzi składa najgłębsze podziękowania za wspaniałą i miłą gwiazdkę dla dzieci niezamożnych górników. Przy tej sposobności pozwalamy sobie przesłać najszczersze życzenia pomyślnego rozwoju tamtejszego Samorządu Szkolnego. Szczęść Boże!— Prezes: St. Kula, sekretarz W. Ciechowski.—

Zabawa karnawałowa. W dniu 25 stycznia br. odbyła się nasza tradycyjna zabawa karnawałowa w salach „Sokoła". Zarząd Gminy Szkolnej powierzył urządzenie tej zabawy klasie VII., która też z tego zadania znakomicie się wywiązała. Sala była bardzo pięknie przystrojona, imitowała krajobraz zimowy wśród padających gęsto płatków śniegu. Ogólne tańce przepleciono pokazowemi występami grup, z których na wyróżnienie zasługuje „zbójnicki", odtańczony w strojach góralskich przez 4 kolegów z kl. VII. (Banach, Fudali, Skawiańczyk, Szumski). — Ochocza zabawa trwała do północy i pozostawiła nam najmilsze wspomnienia.

Komitetowi Rodzicielskiemu, który przygotował nam obfity (a bezpłatny!) bufet, składamy wyrazy szczerej wdzięczności.

Głos w sprawie „Głosu Młodych“.

Tradycyjna zmiana Głównego Zarządu a w związku z tem odmłodzenie komisji redakcyjnej. Piękne posunięcie na drodze przyszłego rozwoju naszej Gminy Szkolnej.

Nasuwają mi się na myśl pewne refleksje. Czytając ostatnie numery „Głosu Młodych“ doszedłem do wniosku, że jednak nie jest tak, jak powinno być. Mówi się, że gazetka nasza jest odzwierciedleniem życia szkolnego, uczuć i myśli naszych. W pewnej mierze tak jednak nie jest. — Treść artykułów niezupełnie odpowiadała powyższym poglądom. Przejawiał się w nich natomiast sentymentalizm i jakaś bierność w stosunku do życia — a przecież to życie nasze dostarcza tylu ciekawych i wesołych momentów, że doszukać się w niem możemy tematów żywszych i bardziej interesujących. Obok artykułów poważnych i naukowych powinny być artykuły lekkie, zabarwione pierwiastkiem humorystycznym. Tych ostatnich jest brak a śmiem twierdzić, że nasza odmłodzona redakcja, podzielając nasz pogląd, pójdzie po drodze naszych myśli i poglądów. Podpatrujmy nasze życie szkolne i piszmy, piszmy do gazetki, bo czas ucieka — a numery nie wychodzą.

Kat (VII.)

Odpowiedzi redakcji:

Riese VII. Z wiersza nie skorzystamy — trzeba jeszcze popracować. Prosimy o dalszą współpracę.

Mg. VII. Słabe — nie wydrukujemy.

Longinus: Prosimy o dalszy ciąg.

W. Miecz: Prosimy o dalszy ciąg „Baśni młodości“

Komisja redakcyjna: *Mieczysława Nogawiecka, Zofja Polończykówna, Jan Konieczny, Renata Hirkawska, St. Kiczmal.*

Opiekun: *prof. Ludwik Werschler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.